

# Dwa widma



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## *Dwa widma*

Wybiciem późnej godziny zegar przeciął naszą rozmowę, którą prowadziliśmy tak gorątkowo, że chwilami w wyobraźni mojej ucieleśniały ją przeróżne widziadła. Wyszedłem rozmarzony.

Noc była jasna, po niebie jak po spokojnym morzu pływały białe, pierzaste chmurki, niby ławice piany, niby stada ptaków, niby statki z rozwiniętymi żaglami, dążące w kierunku latarni księżycowej, która obracając swą świetlistą głowę, znaczyła im drogę i odwoziła od zbłąkania. Mijałem ogród: lekkie poddmuchy wiatru roznosiły orzeźwiający chłód kwiatom, które ugasiwszy pragnienie i obmywszy swe listki z dziennego kurzu w kropkach rosy, oddychały rozkosznymi woniami. Miasto już spało, a odległe turkoty rozlegały się między murami jak sennie chrapanie. Choć ulice były puste, zdawało mi się, że mnie otacza rzesza duchów, upiórów smutnych i wesołych, które pozdrawiają się czy też złorzeczą sobie niepochwytnymi dla echa szeptami. Zwolna wyobraźnia moja zaczęła nadawać tym postaciom powietrznym kształty cielesne a gdy inne mignawszy pierzchały, dwie ujrzałem wyraźnie, idące przede mną. Jedna z nich w czarnej powłoczystej szacie, z pod której wymykały się stopy w sandały obute i ręce białe, sinemi, jak po ucisku klamery przęgami obwiedzione, szła spokojnie i niosła głowę dumnie. Na jej pięknym, bladym obliczu nie barwił się nawet tak znikomy rumieniec, jak w blasku jutrzeńki; natomiast oczy płonęły mocnym ogniem, a spieczone wargi drgały boleśnie. Włosy rozpuszczone w dużych zwojach, obiegłszy falisto twarz, spadały na ramiona i piersi, z których dobywały się częste westchnienia. Czasami ruchy jej niepewne i chwiejne zdradzały osłabienie, ale znowu opanowywała swą niemoc i rzucała spojrzenia pełne nieugiętej siły. Wtedy pod jej chmurnym czołem strzelały ze źrenic błyskawice wewnętrznej burzy a z warg zlatywały gromy.

Obok niej sunęła się, kulejąc, druga niewiasta w szarych łachmanach, przez które dziurami przeglądało sinawe ciało. Rzadki, zrudziały włos splątany kosmykami wykradał się z brudnego, przekrzywionego na bok czepca i rozłaził się po twarzy nabrzmiałej, trądem gęsto obsianej, w której przygasłe oczy świeciły krążkami próchna. Do oślinionych ust przywarł bezmyślny uśmiech, przybierający często znamię dzikości.

— Dobrego jutra. A skąd to, siostrze? — zagadnęła pierwszą niewiastę ochryplym bezdźwięcznym głosem.

— Z cmentarza — odrzekła zapytana.

— Na mogiłach jagody nie rosną, warzyw ludzie nie sadzą, nie ma tam czego jeść...

— Całowałam groby męczenników życia, składałam na nich przysięgi i odbierałam przeznaczenia.

— Zostaw nieboszczyków w spokoju, niech jedzą ziemię, której mają podostatkiem, a dbaj o żywych, którzy giną z głodu.

— Umarli nie ulatują w wieczność, jak stado bocianów, po których nawet szum skrzydeł milknie, lecz roztapiają się w powietrzu, którym żywi oddychają. Każdy człowiek pozostaje do zgonu dzieckiem na łonie przeszłości, ssącym mleko z jej piersi.

— Ja nie mam przeszłości. Mój ojciec nie wiedział że mnie spłodził, matka urodziwszy, nie obejrzała i cisnęła do cudzej sieni, skąd mnie stróż wymiół do przytułku. Urosłszy, daremnie szukałam rodziców między parami w rowach i krzakach, tak jak nie jedno z moich dzieci nie rozpoznaje we mnie matki. Ha, ha, ha — gramy w ślepa babkę. Dopóki mężczyźni nie nauczyli mnie prawdy, myślałam, że nas biednych Bóg z błota lepi i na ziemię spuszcza z gradem.

— Nieszczęśliwi...

— Jak kiedy... Za grosz teraz szczęścia nie sprzedają, bo zdrożało, ale za pięć dostać można. Aby tylko więc grosze były, to wesela nie zbraknie. Dziś się dzionek pochmurzył. Od rana w brzuchu tak mi głód zębami zgrzytał, że chciałam odrapać i zjeść grzyby, które z wilgoci na ścianach izby wyrosły. Nawet pies ogryzionej kości nie zgubił, nikt na ulicy jabłka nie obrał i lupin nie rzucił, woda w rzece mułem nie zgęstniała; więc poszłam pod szynk, usiadłam na progu i wciągałam wyziewy wódki, aż mnie sen zmorzył. Karczmarz nogą kopnął i przebudził, za co mu podziękowałam, bo byliby mnie sprzątnęli i do jamy wrzucili. A wolność to przysmak.

— I ty ją kochasz? Odgadłam to zaraz. Tak, wspaniała orlica opuściła szczyty i sfrunęła na niziny, gdzie ściele sobie gniazdo. Tu jej pisklęta otuli mech miękki, osłonią powoje i trawy, wykarmią muszki, napoi źródź czysty. Na wyżynach wichry, które rozdzierają się tylko o niewzruszone skały, nie pozwolą żyć dumnym ptakom. Ludzie, wskakując jedni drugim na ramiona, wspinają się ku górze, niepomni, że bezlitosnym ciężarem rozgniatają podtrzymujących tę potworną drabinę. Ale spód jej wstrząsa się i wali ją — a ja i ty, należymy do spodu. Wołajmy tedy obie: kto w naturze rozkazał, ażeby człowiek miał prawo być niszczącą brodawką lub kleszczem wpitym w ciało innego człowieka, wdziewać cudze dobro jak kaftan ciepły, wzuwać jak obuwie, wysysać jak sok owocu? Kto ustanowił, ażeby serce uderzało według przepisanej rytmu a mózg obracał się za stałą igłą magnesową? Pytam o to od początku świata, bo tak długo żyję; tysiąc razy zabita, zmartwychwstając, zdjęta z tortur do zdrowia wracam, bo język mój jest mową nieśmiertelności.

— Wyznam ci, że niewiele z tej twojej mowy nieśmiertelności rozumiem. Ale domyślam się: nie chcesz, ażeby nas sadzano do kozy za to, że po nocy się włóczymy. I to jest bardzo słuszne, bo komu to szkodzi, że sobie podpiję, pohulam, zaśpiewam i z wesela grzmotnę w łeb dobrego chłopca, który mi zaraz odda? Kiedy głód i chłód dokuczą, koza nie straszna, a nawet przyjemna; w taką wszakże ciepłą noc, jak dzisiejsza, daleko wygodniej leż na murawie, i patrząc w niebo, lykac gwiazdy, niby cukierki. One nie nasycą — wiem, to też wprzód należy zjeść kawałek chleba, a jeśli niema swego, wyciągnąć z kieszeni cudzy, jak ja w tej chwili tobie.

— Weź, noszę go dla biednych...

— Pocziwa... Inni tak nie robią, choć wszystkiego pożreć nie mogą. Ale wynaleziono sposób wyrównywania nadmiarów. Śliczny sposób! Skoro noc utuli i uspi ziemię, my rozpoczynamy nowy podział dóbr świata: ten ich za dużo dźwiga — trzeba mu ulżyć; ten nasypał sobie z czubem — trzeba mu go zgarnąć; inny trapi się, gdzie przewyżkę schować — trzeba go od troski uwolnić. Nazajutrz wszyscy oni wstają zmartwieni, ale wkrótce pocieszają się, a wóz, na którym spoczywa ziemia, po równiejszem rozłożeniu na nim ciężarów toczy się bezpiecznie i nie grozi wywróceniem. Złodziejów tylko brzydko nazwano: są oni dozorcami rzetelności miar i wag, służbą, przywracającą w nocy porządek domu, który państwo w dzień doprowadzili do bezładu. Czy nie prawda — siostrze?

— Z ciebie odzywa się szydercza boleść a nie trujące zepsucie. Najeżyłaś kolce i zwinęłaś się jak jeź, bo nauczyłaś bronić się od morderczej ręki. Ale w głębi czujesz serce, z którego sączą się lzy czyste. Chcesz powiedzieć, że ludzie nie powinni mieć paszcz olbrzymów przy ciałach karłów i więcej pochłaniać, niż strawić mogą; że ze stołów ucztych zbytku więcej spada i marnieje okruszyn, niż potrzeba dla nakarmienia ubóstwa; że samolubstwu należy wylamać kły, którymi rozszarpuje niemoc; że ziemia może wyżywić wszystkie dzieci, które rodzi, że...

— Nie, siostrze kochana, przemawiasz do mnie ze zbyt wysokiej ambony i dlatego cię nie pojmuję. Ot, lepiej, zamiast tej gadaniny, od której mi już czczo, pójdźmy w groch. Patrzysz na mnie zdumiona? Ha, ha, ha! Kieszenie ludzkie są jak łan grochu: niektóre puste i robaczywe, inne pełne. Do tych biedak się zakrada i wyłuskuje z nich smaczne ziarna.

— Nie odstrasza mnie maską udanej potworności, bo pod nią dostrzegam uczciwy wzrok nędzy. A jeśli się mylę, odejdz wstrętne więdmo zbrodni.

— Nie odtrącaj mnie, jam tak biedna, tak nieszczęśliwa, tak sponiewierana przez los, jak płat starej skóry, którą pies w zębach nosi, gryzie i pożreć nie chce.

— O, wy miłosierdzia godne sieroty, zrodzone a nieznające rodziców, unarodowione, a opuszczone przez naród! Kiedyż was jedyna matka, ludzkość, przytuli do swego łona i otoczy troskliwą opieką!

— Co mówisz, dobrodziejko? Kto mnie sierotę przygarnie? I ja sobie nieraz myślę: gdyby poczciwi ludzie okryli mój nędzny grzbiet, dali stawę posilną i kąpiel ciepłą, możeby mi ręce zaświerbiały do roboty, możebym miała odświętną minę. Ale gdy od człowieka wszyscy uciekają, nawet jego własne zęby i włosy, to się chce dogonić kogokolwiek, zedrząc mu czuprynę i włożyć sobie na głowę. Niech tam! Skoro zacna pani nie wstydzi się iść ze mną, dziś będę porządną, jak figura kościelna. Tylko się naprzód wykąpię w wodotrysku, jeśli go spotkamy po drodze, bo w rzece biednym brudzić nie wolno wody, używanej do picia a bezpłatnych łazienek niema. Kiedy zaś będę czystą jak zdrowe oko, czy weźmiesz mnie siostrze do swego pałacu?

— Żadnego nie mam, mieszkam w skromnych domkach.

— Bywają wygodne. Ale dokąd teraz dążysz?

— Na obsługę nocną. Zanim słońce wejdzie i da hasło do dalszej walki, muszę ukrzepić siły bojowników, opatrzyć rany zwyciężonych, uczcić poległych.

— Na pobojowiskach można znaleźć chleb porzucony, odzież zgubioną, klejnoty drogie, które trupom są niepotrzebne a żywym się przydadzą. Cudna wyprawa, śpieszmy. Oby nas tylko inni nie ubiegli.

— Bądź spokojna, niedola jest magnesem odpychającym. Przy jej drzwiach stoją na straży smutne duchy, które ludzi odstrasza; jej piersi niemile rżęzą, kości wydają chrzęst szkieletowy, oddech zatruwa uśmiechy, ów słodki i odurzający płyn w czarach biesiadników życia. Nieszczęśliwy jest chorym, zapowietrzonym, do którego jedynie litość się zbliża.

— Chociaż ogień dnia zgasł, piec ziemi, niebo, jeszcze grzeje, ale wkrótce ochłodnie. Trzeba skorzystać z ciepła i przespać się, bo ranek obleje zimnem i spędzi z legowiska. Powiedz mi zatem szczerze siostrze, czy warto tę ciepłą część nocy przewłóczyć się?

— Odgrzeb z popiołów twej duszy iskrę miłości dla ludzi, wiary w dobro, nadziei w jego zwycięstwo, rozdmuchaj ją w płomień, który drogę rozświecać będzie i pójdź ze mną.

— Ale ostatecznie dokąd?

— Czy widzisz to okienko poddaszne, po którym ślizga się chwiejny i blady odbłysek lampy nocnej? Tam mąż chorej żony i ojciec drobnych dzieci rozmyśla, jak z niemi przeżyje jutro. Rozpacz, ptak drapieżny, stanął mu na głowie i mózg wydziobuje, smutki niby osy obsiadły jego serce i klują je żądłami. Pyta on daremnie kamienne bożyszcze świata: co ma zrobić, ażeby nie podnieść przeciw sobie samobójczej ręki?

— Ty mu poradzisz?

— Poradzę, ażeby zjawił się na uczcie pijanych marnotrawców i pokazał im, jaki cień rzuca za sobą zbytek.

— Wypędzą go.

— Ale jego obrazu z duszy swej nie zetrą. Widzisz to drugie okno, za którym przy świetle kaganka duma wynędzniała młodzieniec? Podniósł twarz żółtą, niby stara karta, skargą boleści zapisana, w księdze losów ludzkich, zmęczony wzrok zawiesił w przestrzeni, pierś wyrzuca gorączkowe oddechy, pięść kurczowo się zaciska; on jutro rozwiedzie się z nauką, której wieczną miłość przysiągł, i zaślubi prostą dziewczkę rzemiosła, której nie kocha, ale będzie miał przy niej utrzymanie.

— Cóż mu pomożesz?

— Pobudzę go, ażeby o skały tego świata uderzył swą klątwą, która rozprysnie się w tysięcznych echach i obudzi śpiące w miękko wysłanych norach zwierzoludy.

— Marna zabawka!

— Takie echa nie milkną nigdy. Patrz, tam dalej usiadła na balkonie i mierzy głębokość przestrzeni młoda kobieta, której uwodziciel wydarł podstępnie serce, a sąd ludzki przez tę ranę wtłacza jej na to miejsce hańbę. Walczy ona między przywiązaniem do nieprawego dziecka, które ją przed chwilą wypieściło pocałunkami, a odrazą do życia, które wypala jej na czole sromotne piętno.

— Niech podrzuci ludziom to, co jej odbierają.

— Milcz! Niech je wychowa w poznaniu krzywdy, niech nauczy zemsty, która waży czyny na szalach sprawiedliwości, a karzący miecz powierza przebaczeniu.

— Ha, ha, ha! Wspaniałomyślny baran, który oszczędza owczarzowi trudu strzyżenia wełny i przeciska się przez kolczaste krzaki, ażeby ją z niego obdarły.

— Nie śmieję się, jak hyena. Oto przed nami stos złowrogi, na którym jutro spłonie mędrzec potępiony za prawdę, bo jej promieniami głupców oślepił. Stanę przy uwięzionym męczenniku, będę go zachęcała, ażeby się przed katami nie ukorzył i żalem nie plamił czystych krzysztalów wiedzy, które z głębin tajemnicy wykopał i które potomność ułoży dla niego w świetlany pomnik.

— To pociecha! Lepszy perz w łóżku, niż puch w trumnie.

— Nikt z nas nie jest odkrojonym od wszechducha w przyrodzie jego kawałkiem, lecz każdy, jako dziecko w łonie matki, żyje nim całym. Nie opóźniaj swych kroków, choć mnie czasem nie rozumiesz. Mamy przed sobą wielki krąg niedoli, który obejść trzeba. Widzisz tę gromadę namiotów, niby muszli wyrzuconych na brzeg przez morze: śpią w nich znużeni tułacze, których zły duch wypędził z siedzib za to, że ich nie mógł utłuc w wielkim mózdzierzu i z zagniecionej masy narodowej ulepić tworów według swej woli. Niosą z sobą tylko sakwy pielgrzymie, liry śpiewacze i księgi dziejów rodowych. Tylko matka-ziemia przygarnia ich do siebie. Gdyby nie ona, ciśnięci w przestrzeń, spadaliby wiecznie aż na dno nieskończoności. Pójdźmy do nich...

— Po co obmacywać ich puste torby? Przerwij kochana siostrze, tę czczą, jak mój brzuch, gadaninę, i powiedz wyraźnie, czy dasz mi jeść.

— Co ty czujesz?

— Głód.

— Czego chcesz?

— Zaspokoić go. Łykam twoje słowa, jak bańki mydlane, ale to mnie nie syci, tylko mdli. Gdybyś miała tak zwinne palce, jak wargi, zarobiłybyśmy tej nocy dużo. Napróżno straciłyśmy czas. Otóż włóż moją rękę w swoją i podwójną pięścią uderzajmy w łby przechodniów a z pewnością tyle z ich kieszeni przesypane się w nasze, że słońce nas nie pozna. A jeśli nawet będzie potrzeba utracić szyjkę jakiejś butelki, która odkorkować się nie da...

Przed końcem tych słów czarne widmo zaczęło niknąć i z jękiem rozplynęło się w powietrzu. Stara niewiasta została sama i rzekła do siebie:

— Myślała, że ja z nią będę kraść w nocy rosę i gotować zamiast kaszy przy księżycu. Ha, ha, ha!

I utonęła w mrokach.

Po chwili usłyszałem jakiś krzyk i wołania o pomoc, a potem śmiech starej wiedźmy.

\*

Znowu było pusto. Zdawało mi się, że wyobraźnia moja jak gołąb przyleciała z oddali, zwinęła skrzydła i spoczęła zmęczona; zdawało mi się, że zbudzona myśl szepcze do niej:

— Do każdej młodej i bohaterkiej idei przyczepia się stara i wygłodniała niecnota jako jej siostra, która zamierza z nią świat okraść, kiedy tamta pragnie go zbawić.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwa-widma/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, Bajki [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0828-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.